

OZIENNIK BAŁTYCKI

ul. Targ Drzewny 3/7

80-836 Gdańsk

Nr z dn.

1 6 4 1 5 1 6 -07-89

Wieczór z Melpomeną

Z dużą rezerwą traktuję zwykle wszelkie przedpremierowe „przecieki”. To przecież naturalne, że każdy teatr nową repertuarową pozycję zachwala jak potrafi, a spektakl nie zawsze ostatecznie prezentuje się tak, jakby się można spodziewać na podstawie zapowiedzi. Z dystansem więc przyjąłam zapewnienia, że komedia Michaela Frayna „Czego nie widać” wystawiana przez Teatr „Wybrzeże” na zakończenie artystycznego sezonu, jest naprawdę śmieszna. Różnie to bowiem bywa z komediowym humorem i nie wszystko, co z założenia zabawne, musi zabawnie przedstawiać się na scenie. Rzadko też udaje się autorom uderzyć w strunę powszechnej, uniwersalnej wesołości, bo po czucie humoru jest jak wie my sprawą indywidualną. Jeżeli ktoś nawet skreca

się ze śmiechu, to wcale nie znaczy, że podobnie za reaguja wszyscy.

Tymczasem „Czego nie widać” i Michael Frayn potrafią wprowadzić publiczność w zbiorowy trans wesołości. Frayn jest Anglikiem, ale w swej sztuce odchodzi całkowicie od owego nader specyficznego brytyjskiego humoru. Jego komedia, której akcja ukazuje teatralną „kuchnię” rozgrywającą się — podczas próby nowego przedstawienia, za kulisami w trakcie występu w tzw. objędźcie i na którymś z kolei spektaklu — jest farsą. To zaś już wystarczająco charakteryzuje typ komizmu. Jego loty — mówiąc ogólnie — nie są najwyższe, a źródłem stają się słowa i sytuacje o zabarwieniu groteskowym i karykaturalnym, graniczące często z absurdem. Bliskość jest to chwilami burles-

ce, typowemu dla niej piętrzeniu konfliktów i momentów w gruncie rzeczy tak błahych, że aż głupich. Ale od czasu do czasu dobrze pośmiać się choćby z niczego. A Frayn nakreśla tę spiralę radości kunsztownie i kulturalnie, błyskotliwie obracając się

myiek i aktorskich „wpa-dek”. Całość jak widać opiera się na schemacie „teatru w teatrze”, który to teatr autorowi sztuki znany jest najwyraźniej świetnie. Umie też Frayn ze zdumiewającą łatwością i wdziękiem piętrzyć sytuacje komiczne, z inwencją

Fraynowska — to zadanie wbrew pozorom ogromne. Tu trzeba mianowicie przede wszystkim wybor-nego aktorstwa. Ten typ humoru albo broni się dzięki aktorstwu, albo najzwyczajniej „pada”, żałość obnażając warsztatowe braki wykonawców.

śmiać się bez wytchnienia przez dwie i pół godziny... Aktorskiego kunsztu trzeba, aby takie tempo utrzymał, by w plataninie powracających epizodów, nie tylko się nie pogubić, lecz także nadać postaciom indywidualność, a sytuacjom prawdziwie komiczną bar-

Trzy akty nie są bynajmniej jednakowo zabawne. Najtrudniejszy, ale i najlepiej, rewelacyjnie wprost zagrany jest drugi, działający się za kulisami w czasie przedstawienia, w części pantomimiczny. Tu nagromadzenie sytuacji niewiarygodnie głupich, a przecież jednak z teatralnego życia wziętych, tylko odmalowanych groteskowo, sięga zenitu. Klasyczne, dobrze znane z kina „ogrywanie” poszukiwań przedmiotów, ucieczek, spóźnień, scen zadość, „przebieganie” niby nie kryje już w sobie niczego atrakcyjnego. A jednak... Ilekroć niezrównana Lucyna Legut pojawia się z rekwizytem — talerzykiem sardynek, tyle razy trudno za chować powagę. Kiedy Jerzy Kiszka czyli Fellowes w roli Philipa walczy z nazbyt skutecznym klejem, Brooke — Vicki czyli Maria Mielnikow szuka szkieł kontaktowych, a Joanna Bogacka czyli Belinda — Flavia nasłuchuje ploteczek, zaś Seldson — Złodziej — Jerzy Łapiński szuka whisky — ogarnia nas paroksyzm wesołości. Chyba, że ktoś z natury zasadniczy, albo malkont-

Pretensje do sardynek

Anna Jęsiak

w owym kręgu groteski, absurdu, bulwarowego żartu. „Pożywką” jest mu teatr, to właśnie „czego nie widać” — czyli atmosfera przedpremierowych gorących przygotowań, słabostki i przywary aktorów i pracowników technicznych, a także to, co dzieje się za sceną w czasie spektakli, odchodzących stopniowo od idealnego, wymarzonego przez reżysera kształtu. I akt — to właśnie próba „na pięć minut” przed premierą, II — jedno z przedstawień widziane od kulis, III — spektakl, który umiera śmiercią naturalną wskutek po-

wygrwać ich powtarzalność (przecież my widzowie, towarzyszymy wykonawcom w tworzeniu wciąż tego samego przedstawienia, więc wracając w różnych wariantach te same kwestie i epizody).

Oczywiście dobry tekst, a taki z pewnością jest „Czego nie widać” w przekładzie Karola Jakubowicza i Małgorzaty Semil, nie gwarantuje jeszcze sukcesu. „Zrobić” komedię w teatrze jest bowiem wcale niełatwo i prawda to znana. Wystawić komedię tak zwariowaną jak

Spektakl Teatru „Wybrzeże” wyreżyserowany przez Pawła Piterę dowodzi klasy gdańskich artystów. Pitera, którego żywiołem i domeną jest reżyseria filmowa prowadzi tę inscenizację właśnie na sposób „filmowy”, z nieprawdopodobnie szybkim tempem i zmiennością sytuacji, bogactwem zdarzeń i szczegółów. Sprzyja temu scenografia Łucji i Bruna Sobczaków. Jest wprawdzie kilka momentów, kiedy to rytm odrobinę się załamuje, tempo nieco „siada” a całość na chwilę jakby nuży. Bo też prawdę mówiąc nie sposób

wę. Tego dokonać mogą najlepsi. Cztery panie — Lucyna Legut, Joanna Bogacka, Maria Mielnikow i Sławomira Kozieniec oraz pięciu panów: Jerzy Kiszka, Jerzy Łapiński, Mirosław Krawczyk, Krzysztof Matuszewski i Jacek Goddek byszczą umiejętnością mi, aktorską brawurą, fantazją i kulturą interpretacji. Humor „Czego nie widać”, komizm tej sztuki nie jest wszak wysublimowany, bywa czasem nawet płaski i tylko duże wyczucie aktorów jest w stanie z klasycznego banału wyczarować zabawną „perełkę”.